

Karp wyczarowany ze snu

tłumaczenie: **W. Kotański**

Skład wykonano w programie L^AT_EX 2_ε
Tekst jest dostępny pod adresem mahajana.net

Wstęp

„Karp wyczarowany ze snu” jest częścią Ugetsu-monogatari (opowieści „Po deszczu przy księżycu”) których autorem jest Ueda Akinari (1734–1809) żyjący w XVIII-wiecznej Japonii.

Przesłanie tego urokliwego opowiadania jest nietrudne do odczytania i żywo odzwierciedla buddyjską naukę o ochronie i współczuciu wobec wszystkich odczuwających istot, do którego grona buddyzm zalicza nie tylko ludzi ale także zwierzęta, ryby, owady, drzewa itd.

Dziś, w dobie gdzie liczy się tylko szybki zysk i gdzie masowo eksploatuje się zwierzęta, zabijając je w rzeźniach i znęcając się nad nimi w laboratoriach pod płaszczykiem „naukowych” doświadczeń opowiadanie to nie straciło nic ze swej aktualności.

Indyjski cesarz Asioka budował nie tylko sierocińce oraz szpitale dla ludzi, ale także lecznice dla zwierząt. Chińscy i japońscy buddyści wykupywali przeznaczone na rzeź zwierzęta i ryby, i wypuszczali je, zwracając im wolność.

Czyżbyśmy my, ludzie XXI wieku, mieli być gorsi od nich?

Nyogen Nowak

Karp wyczarowany ze snu

Dawno temu, w czasach ery Encho, w klasztorze Miidera, żył mnich imieniem Kogi. Zdobył sławę tym, że z talentem malował obrazy. Ale zazwyczaj nie przedstawiał na nich ani postaci Buddy, ani gór czy rzek, ani kwiatów, ani wreszcie ptaków. Gdy tylko miał dzień wolny od obowiązków klasztornych, wypływał łódką na jezioro, dawał pieniądze rybakom łowiącym ryby w sieci, złapane przez nich ryby wypuszczał z powrotem do jeziora, a potem obserwując igraszki tych ryb w wodzie malował je i w tym doszedł z biegiem lat do doskonałości.

Niekiedy tak oddawał się tej robocie, aż zasypiał, a we śnie wstępował w wody jeziora i igrał z rybami, wielkimi i małymi. Gdy się przebudził, malował to, co widział, obrazki przytwierdzał do ścian i sam je nazywał karpami wyczarowanymi ze snu. Byli ludzie, którzy rozumieli niezwykłą wartość tych malowideł i jeden przez drugiego starali się wyprosić je u niego, ale na te prośby dawał im wyłącznie obrazy kwiatów czy ptaków, albo jakieś widoczki, a tylko owych karpie stanowczo odmawiał i tłumaczył wszystkim w żartobliwym tonie:

— Nie mogę przecież dawać stworzeń, które jako mnich hoduję, wam świeckim, którzy zabijacie to, co żywe, a ryby zjadacie na surowo.

Głośno więc było w całym cesarstwie i o tych obrazach, i o tym żarciku.

Pewnego razu Kogi zapadł na jakąś chorobę, a po siedmiu dniach zamknął oczy i przestał oddychać; krótko mówiąc – zmarł. Zebrali się jego uczniowie i przyjaciele uzalając się i lamentując, ale okazało się, że pierś zmarłego jest jeszcze trochę ciepła. Kto wie – może ożyje – pomyślano. Otoczyli więc jego ciało i czuwali nad nim. Gdy upłynęły trzy dni, zaczął już jakby trochę poruszać rękami i nogami i nagle z głębokim westchnieniem otworzył oczy, podniósł się jak zbudzony ze snu i zwracając się do zgromadzonych uczniów powiedział:

— Oddaliłem się na długo duchem od spraw ludzkich. Ciekaw jestem, ile to dni upłynęło!

— Utraciłeś, nauczycielu, oddech – odrzekli mu uczniowie – przed trzema dniami. Bracia klasztorni i osoby, które stale pozostają z nimi w bliskich kontaktach, zebrali się wszyscy tutaj, aby omówić sprawy pogrzebu, aż tu spostrzeżono, że pierś twoja, mistrzu, jest ciepła. Nie kładliśmy cię więc do trumny, a czuwaliśmy tak, jak nas teraz tutaj widzisz, przy twym łożu. I oto w tej chwili dopiero wróciłeś do życia, więc cieszymy się z tego wszyscy. Dobrze się stało, żeśmy cię nie pochowali!

Kogi na znak aprobaty skinął głową.

— Niech ktokolwiek z was – rzekł – uda się do rezydencji Jego Wysokości wicegubernatora Taira, który jest naszym protektorem i oznajmi mu, co następuje: „Oto mistrz nasz w dziwnych okolicznościach powrócił do życia. Ty, panie, teraz pijesz sake i kazałeś przygotować na przekąskę świeżą surową rybę w occie. Racz na jakiś czas przerwać ucztę i zechciej przybyć do klasztoru. Usłyszysz tu przedziwną opowieść”. Ten kto pójdzie z tym posłannictwem niech patrzy na to, co oni tam robią: wszystko powinno być tak, jak powiedziałem.

Posłany człowiek dziwując się całej sprawie poszedł do magnackiego dworzyszcza, przekazał, co mu przykazano, a przy tym rozejrzał się pilnie dokoła. Zarówno gospodarz domu, wicegubrnator, jak i jego młodszy brat Juro, wasale i domownicy, siedzieli tu zebrani i raczyli się winem ryżowym – aż dziw brał, że wszystko było tak, jak zapowiedział to mistrz, który go tu przysłał. Wicegubernator i dworacy dowiedziawszy się o wszystkim wielce się dziwili, zaraz odłożyli pałeczki, którymi sięgali po zakąskę i wszyscy – nie wyłączając Juro i domowników – pospieszyli do klasztoru.

Kogi uniósłszy się z wezglowia wyraził im swą wdzięczność za przybycie mimo trudów dalekiego marszu, a odpowiadając mu dostojny gość przekazał mnichowi swe powinszowanie z okazji powrotu do życia. Z kolei Kogi wystąpił z zapytaniem.

— Zechciejcie, panie, poświadczyć to, co ode mnie usłyszycie. Czy zamawialiście rybę u rybaka, niejakiego Bunshi?

— W samej rzeczy – zdziwił się wicegubernator – było tak, jak mówisz. Skąd o tym wiesz?

— Ten rybak – ciągnął dalej Kogi – przyszedł na dwór wasz, panie, z koszykiem; a miał w nim rybę nie mniejszą niż na trzy stopy. Wy, panie, ze swym młodszym bratem przebywaliście właśnie w bawialni od południowej strony i graliście w go. Jeden z domowników siedział w pobliżu was, panie, i sycąc podniebienie ogromną brzoskwinia śledził przebieg partii. Zadowolony z tego, że rybak dostarczył wam tak piękną sztukę daliście mu jedną z brzoskwiń, których była pełna patera, a potem podaliście mu czarę i nalaliście mu trzy razy sake. Wasz krajczy wyjął z podniosłą miną rybę z koszyka i pociąwszy ją na plasterki przyprawił octem. Tuszę, że – jak dotąd – wszystko, co powiedziałem, w pełni się zgadza!

Wszyscy, co przyszedli z wicegubernatorem, słysząc tę relację byli wprost zdumieni i oszłomieni; z naleganiem też dopytywali się, jakim sposobem zna on te szczegóły tak dokładnie. I wtedy Kogi opowiedział im całą historię.

— Zmogła mnie niedawno choroba i znosiłem niewymowne cierpienia. Nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, że oto umarłem. Wyczerpany gorączką zapragnąłem się nieco orzeźwić. Wspierając się na kiju wyszedłem za bramę domu. Zdawać by się mogło, że zapomniałem zupełnie o swojej chorobie. Czuję się jak ptak wypuszczony z klatki w królestwo chmur. Wlokłem się długo przez wzgórza i osiedla ludzkie, aż wyszedłem wreszcie na brzeg wielkiej wody. Na widok niebieskiej toni jeziora przyszło mi na myśl, żeby – jak to bywało w mych sennych widzeniach – zanurzyć się dla zabawy w wodzie. Zrzuciłem więc odzież, dałem nura, ale mimo, że od razu wpadłem w miejsce głębokie, pływałem sobie tu i tam swobodnie; choć od najmłodszych lat niewiele miałem wspólnego z pływaniami, harcowałem wtedy, jak mi się żywnie podobało.

Gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się to wszystko niedorzecznym marzeniem sennym. Jednakże człowiek unoszący się na powierzchni wody nie jest tak swobodny jak ryba. Obudziła się we mnie zazdrość, że oto nie mogę pisać na podobieństwo ryb. A była opodal mnie jakaś wielka ryba, która rzekła: „Spełnić twe życzenie, mistrzu, to nic trudnego. Proszę poczekać!” – widziałem, jak się po tych słowach zapuściła gdzieś hen, na dno, a po jakimś czasie wypłynęła na powierzchnię niosąc na swym grzbiecie jakąś istotę w koronie i ceremonialnym ubiorze, a za tą rybą ciągnęło wiele jeszcze innych przedstawicieli rybiego

rodu. Osobnik w koronie zwrócił się do mnie tymi słowami: – „Oto zarządzenie boga mórz! Czcigodny brat zgromadził w dotychczasowym swym życiu wiele zasług dzięki temu, że obdarzał życiem stworzenia, które czekała śmierć. Teraz brat nasz wstąpił do wody jeziora i pragnie igrać jak ryby. Na pewien czas użyczamy mu stroju złotego karpia i pozwalamy zażywać przyjemności Królestwa Wody. Niech tylko nie da się omamić zapachem przynęty, aby nie stracił życia gdy zawisnie na nitce wędki”. Po tych słowach poseł się oddalił i znikł mi z oczu.

Z najwyższym zdumieniem spojrziałem na swe ciało: nie wiadomo kiedy pokryło się ono łuską i nabrało złotego połysku – zmieniłem się w jednego z karpia. Nie dziwowałem się jednak temu w tym momencie – machnąłem ogonem, poruszyłem płetwami i dalejże się kręcić i kołować, ile dusza zapragnie. Najpierw dałem się unosić falom, które gnał wicher, wiejący z góry Nagara; potem oddawałem się swawoli w przybrzeżnych wodach wielkiej zatoki Shiga, ale przerażony nieustannym ruchem pieszych, którzy zdawali się tu niemal zanurzać poły szat w wodzie, przeniosłem się w cień wysokiej góry Hira. I już miałem zawędrować aż na dno głębokiej w tym miejscu wody, gdy wbrew mej woli zwabiły mnie ognie rybaków z Katada, przed którymi trudno ująć rybie. Noc była czarna jak smoła, ale księżyc, który odbijał się w zwierciadle jeziora, jaśniał nad szczytem góry Kagami rozświetlając niezliczone zakamarki niezliczonych nadbrzeżnych osiedli. Można było podziwiać wysepki Oki i Chikubu, a na tej ostatniej barwione cynobrem ogrodzenie, które odbijało się w falach... Gdy się tym zachwyciałem, po tafli jeziora zmarszczonej przez wiatr z góry Ibuki przyплыnęła pchana wiosłem barka z Asazuma i zostałem przez nią zbudzony z uroku, jaki spadł na mnie pośród głębin zarosłych algami. Uciekałem teraz także przed rozcinającymi umiejętnie wodę żerdziami przewoźników z Yabase; przeganiali mnie też wielokroć strażnicy mostu Seta. Gdy dzień był gorący, pływałem pod powierzchnią wody, gdy szalał wiatr, igrałem sobie na dnie tysiąc sążni w głębi.

Wtem zachciało mi się z głodu coś zjeść. W poszukiwaniu pożywienia płynąłem to tu to tam, ale niczego nie znalazłem. Zaczynało już mnie to męczyć, gdy nagle trafiłem na miejsce, gdzie Bunshi zapuszczał swą wędkę. Przynęta pachniała wspaniale. Zachowałem jednak jeszcze w pamięci ostrzeżenie rzeczno bóstwa. Powiedziałem więc sobie: – Jestem przecież uczniem Buddy! Choć przez ten czas nie udało mi się znaleźć niczego do jedzenia, nie wypada w żadnym razie, żebym łykał rybi pokarm! – I odpłynąłem stamtąd. Po jakimś czasie głód się wzmógł, a choć nadal się zastanawiałem, czy to przystoi, nie mogłem już wytrzymać. – Powiedzmy, że chwycę ten kąsek, ale czyż jestem tak głupi, żeby od razu dać się złapać? Znamy się zresztą z tym rybakim od dawna, czegoż więc mógłbym się obawiać? – Uspokoiwszy się w ten sposób połknąłem wreszcie przynętę. Bunshi szybko pociągnął za nić i wyłowił mnie. „Dlaczego to robisz?” krzyknąłem, ale on miał niezmiennie wyraz twarzy taki, jakby niczego nie słyszał. Przeciągnął mi teraz sznurek przez skrzela, uwiązał łódkę pośród sitowia, wsadził mnie do koszyka i zaniósł do waszego, panie, domu. Wyście się, panie, zabawiali właśnie ze swoim bratem w południowej komnacie grą w go. Jeden z domowników siedział tuż obok was i zajadał owoc. Widząc że Bunshi przyniósł tak wielką rybę, wszyscyście ją wielce podziwiali. Ja się w tym momencie zwróciłem do was i nateżając głos krzychałem bez ustanku: – „Czyście zapomnieli wszyscy, że jestem

Kogi? Wypuście mnie! Pozwólcie mi wrócić do klasztoru!” – Ale na nikim z was nie zrobiło to najmniejszego wrażenia – klaskaliście tylko z uciechy w dłonie.

Ten który jest waszym krajczym, zacisnął mi najpierw mocno palcami lewej ręki oczy, a w prawą wzięwszy dobrze wyostrzony nóż położył mnie na kuchennym stole i już miał kroić, ale ja jeszcze zdjęty nieopisanym przerażeniem na cały głos krzyknąłem z płaczem: – „Czyżbyście się ważyli skrzywdzić ucznia Buddy? Nie zabijajcie mnie! Nie zabijajcie!” – Ale nikt tego nie posłyszał. Poczulem wreszcie cięcie i... zbudziłem się ze snu.

Ludzie, którym to opowiedział, bardzo byli tym poruszeni i bardzo się wszystkiemu dziwili.

— Gdy przypominamy sobie to, o czym nam, mistrzu, prawisz, rzeczywiście widzieliśmy wtedy w różnych momentach, że ryba porusza pyskiem, ale głosu wcale nie było słychać. Nie do uwierzenia wprost, żeśmy widzieli na własne oczy taki przypadek.

Wicegubernator polecił jednemu ze swego orszaku pobiec do domu i resztki przyrządzonej w occie ryby wrzucić do jeziora.

Kogi wrócił teraz ze swej choroby do zdrowia i umarł znacznie później, po dojściu do sędziwego wieku. Gdy już się spodziewał swego zgonu, powrzucał do jeziora wszystkie obrazy z karpiami, jakie tylko kiedykolwiek namalował, a malowane ryby zeszyły z kartonu i jedwabiu i zaczęły igrać w wodzie. Dlatego jego obrazy nie zachowały się dla potomności. Jego uczeń, niejaki Narimitsu, przejął po Kogim tajemnicę jego mistrzostwa i zdobył sławę. Stare podania notują, że gdy namalował on na drzwiach w pałacu Kan'in koguta bojowego, żywy kogut widząc tę podobiznę rzucił się jakoby na obraz z pazurami.